

Było to w czerwcu 1936 roku

Bierzemy do rąk komplet „Tygodnika Powszechnego” reprezentanta poglądów i dążeń hierarchii kościelnej, którego podtytuł brzmi „katolickie pismo społeczno-kulturalne”. Podtytuł określa charakter pisma, zobowiązuje niejako redakcję do zabierania głosu w sprawach, którymi żyje dziś całe nasze społeczeństwo. To co drukuje owe pismo, nie spełnia jednak w żadnej mierze tytułowej zapowiedzi. Próżno by szukać na jego łamach choćby jakichś dalekich odgłosów naszej trudnej i ofiarnej walki o nowy ustroj, o społeczeństwo wolne od nędzy, wyzysku, ucisku klasowego. Pełno natomiast rozważań na tematy personalistyczne, o człowieku „jako takim” czyli poza czasem i przestrzenią — co wyglądałoby na to, że cała pełna palących problemów współczesność znajdu-

je się poza polem widzenia, nie warta jest uwagi uduchowionych wydawców i ideologów tego pisma.

Pozornie nie obchodzi ich sprawy dnia dzisiejszego, mogłoby się wydawać, że zamykają oczy na chwilę bieżącą. Nie należy jednak się ludzić. Że pozory mylą — o tym przekonamy się za chwilę.

W 1936 roku latem, Warszawa zaroila się na kilka dni fioletami najwyższych dostojników kościoła, postaciami najwybitniejszych intelektualistów katolickich, najznakomitszych sanacyjnych mężów stanu, najzasilniejszych wodzów ugrupowań „narodowych”, słowem — naj, naj, naj, ... To wielkie rendez-vous wydali sobie wspomniani mężowie z okazji 400-lecia urodzin Piotra Skali. Uroczystości, którym nadano odpowiedni rozgłos i

oprawę dekoracyjną, mało wszakże miały wspólnego z postacią szesnastowiecznego kaznodziei. Historyczna rocznica miała posłużyć tylko jako pretekst do wygłoszenia jak najbardziej współczesnych sądów, sformułowania ściśle politycznego programu, związanego z aktualną sytuacją międzynarodową i wewnętrzną — czego dzisiaj tak bardzo zdają się unikać przedstawiciele hierarchii kościelnej. Wtedy słyszeliśmy słowa jasne i dobitne, dziś taktyka każe stosować mgliste niedomówienia albo wymowne, jakże bardzo wymowne milczenie.

Na kongresie skargowskim w 1936 roku, w obecności kardynałów, ministrów, generałów i całej kamaryli sanacyjnej, o Jan Rostworowski miarodajny rzecznik zakonu jezuitów i zarazem tuba propagandowa episko-

patu stwierdził w swym inauguracyjnym referacie, że „nasz ustroj gospodarczo-społeczny grozi po prostu katastrofą”.

Święta prawda. Jak najbardziej zwięzła i trafna ocena ówczesnej sytuacji. Jaki z tego wniosek, co za lekarstwo proponuje ojciec Rostworowski?

Nie trzeba snuć długich domysłów. Specyfik na uzdrowienie Polski został już przecież przygotowany przez „przyjaciół”:

„Za granicą dokonywa się praca budowy nowego ustroju w wielu krajach: we Włoszech, w Niemczech i Portugalii (tj. szczytny Salazar — przyp. red.) przeważnie na zasadach korporacyjnych, niedwuznacznie zaleconych w encyklice „Quadragesimo anno”. I u nas ta praca jest najbardziej pożądana, należy sobie życzyć, żeby dokonywała się na podstawie porozumienia delegatów różnych klas, zawodów, stronnictw. Stanowiłoby to wstęp do korporatywnego ustroju...”

Następuje jeszcze kilka brutalnych antysemitycznych wypadków o. Rostworowskiego i oto mamy gotowy faszyzowski program polityczny na użytek Polski. Związek chłobodawców i pracowników czyli wyzyskiwaczy z wyzyskiwanymi. „Współpraca antagonistycznych klas, inaczej mówiąc zalegalizowany prawem państwowym wyzysk, rozbrojenie sił rewolucyjnych. Możliwych i niezbędnych, krwiopicjów, i ofiary poddaje się do wspólnego mianownika, ogłasza się „jedność” ich interesów. Oczywiście wszystkim temu musi patronować dyktator o silnej ręce, sprawujący swe rządy despotycznie, bez oglądania się na opinie i wolę narodu. Takiego człowieka potrzebuje zatruwona wzrostem sił rewolucyjnych oligarchia przemysłowa, obszar-nictwo i wreszcie reakcyjna część kleru. Albowiem — jak oświadczył w następnym przemówieniu kongresowym znany działacz klerikalny T. Błażejewicz („Rola dzisiejszych katolickich działaczy”) „charakterystyczne dla obecnej chwili jest poszukiwanie wodzów, budowanie idei państwowych na zasadzie wo-

(Ciąg dalszy na str. 2)

Samochód bez tłoków, skrzynki biegów, chłodnicy, systemu oliwienia i delka

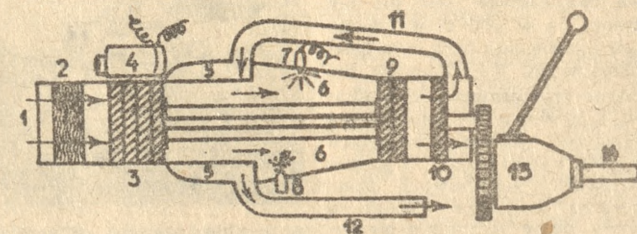
Prawie od początku powstania samochodu konstruktorzy próbowali zastosować zamiast silnika spalinowego tłokowo-posuwowego — turbinę spalinową. Rozbudowa techniki samolotów odrzutowych spowodowała, że próby budowy samochodu opartego na podobnej zasadzie posuwały się bardzo daleko naprzód. Prasa krajowa i zagraniczna przynosi na ten temat coraz więcej wiadomości. Dane do niniejszego artykułu zaczerpnęliśmy z fachowych czasopism radzieckich oraz artykułu inż. Bohdana Lubińskiego w tygodniku „Motor”.

Są jednak przeszkody

Przy wszystkich zaletach powszechnemu zastosowaniu turbin spalinowej (która przecież zajmuje mniej więcej 1/2 miejsca i wagi przy tej samej mocy co silnik tłokowo-posuwowy) stoi dotychczas brak odpowiedniego metalu, który by zachowywał wytrzymałość przy wysokiej temperaturze wewnątrz komory spalania. Poza tym, jak dotychczas, nie rozwiązano jeszcze problemu wydajności turbiny, która spala dwa razy tyle paliwa co dotychczasowy silnik spalinowy. Trzeba jednak zaznaczyć, że do napędu nadaje się każde węglowodorowe paliwo płynne, a więc ropa, nafta,

Dlaczego turbina?

Silnik turbinowy jest niewątpliwie o wiele praktyczniejszym od dotychczasowego systemu motoru spalinowego. Drgania motoru są spowodowane niemal



Schemat samochodowego silnika turbinowego

do zera, gdyż pracuje on tylko w ruchu obrotowym, bardzo rytmicznie, ma wspaniały zryw, co wyraża się tym, że z 6 tys. obrotów na biegu jałowym można osiągnąć przyspieszenie sięgające w ciągu 6 sekund 50 tys. obrotów (pod obciążeniem). Turbina jest przy tym niesłychanie prosta w konstrukcji, obsłudze i usunięciu defektu.

Odpada całkowicie skomplikowany system chłodzenia wodą i smarowania, który (jak wiadomo) często ulega uszkodzeniom w każdym samochodzie. Turbina nie posiada chłodnicy, gdyż moment rozprężania się pływających gazów spalinowych jest bezpośrednio przekształcany na ruch obrotowy turbiny poruszającej koła. Samochód turbinowy nie potrzebuje wielobiegowej skrzynki przekładniowej. Wystarczy jeden bieg normalny, jeden wsteczny i jeden jałowy. W czasie jazdy nie ma potrzeby zmiany biegów na zakrętach, wzniesieniach lub ciężkiej drodze terenowej.

Prosta budowa, brak urządzenia elektrycznego (jedyna świeca potrzebna tylko do rozrusze-

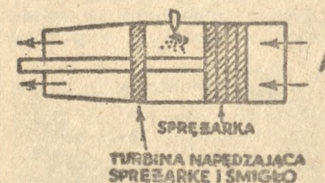
nia, nie mówiąc już oczywiście o benzynie).

Wysilki konstruktorów idą więc w kierunku uzyskania odpowiedniego metalu oraz takiego rozwiązania zagadnienia sprężenia powietrza, które by przy małym zużyciu mocy silnika dawało przy spalaniu wysoki moment rozprężania. W dotychczas zbudowanych turbinach spalinowych samochodowych sama sprężarka „pochłania” nieistotny 70 proc. otrzymywanej mocy. Na moc użytkową pozostaje mniej niż 30 proc.

Zasada działania

Turbinowy silnik samochodowy zbliżony jest w konstrukcji do samolotowego. Samolot jednak osiąga wysokie prędkości i przy szybkości ponaddwukrotnej sprężarka powietrzna jest już zbyt ciężka. Wpadające do komory spalania powietrze jest dostatecznie silnie sprężone. Tymczasem samochód nie przekracza 100 km na godzinę. Wyzsza szybkości osiąga tylko samochody wyścigowe, a i tym jest bardzo daleko do szybkości, która nie ma potrzeby praktycznej osiągania takiej ultraszybkości. Dlatego konstruktorzy wpadli na pomysł, żeby odłączyć zespół napędu sprężarki od turbiny właściwej, napędzającej bezpośrednio koła samochodu. Widzimy to na zamieszczonym obok schemacie, który wraz z opisem zaczerpnęliśmy ze wspomnianego artykułu inż. Bohdana Lubińskiego.

Powietrze wchodzi przez otwór (1) i filtr powietrza (2). Następnie zostaje ono sprężone



Schemat turbiny lotniczej

przez sprężarkę obrotową (3) i przechodzi przez podgrzewacz (5). W komorze spalania (6) następuje ciągły wtłok paliwa przez wtłakiwacz (8) i przelot pływających gazów przez turbinę (9), napędzającą sprężarkę (3). Przepływające gazy poruszają turbinę właściwą, napędzającą koła (10), działającą niezależnie od całego zespołu, a więc od turbiny (9) — i sprężarki (3). Turbina (10) za pośrednictwem mechanizmu redukcyjnego (obrotów silnika sięgają 70.000 na minutę!) i skrzynki przekładniowej (13) obraca wał pędny, a następnie przez przekładnię osi tylnej — koła samochodu. Po przejściu przez turbinę gaz spalinowy są skierowane rurą przelotową (11) do podgrzewacza (5), gdzie ogrzewają napływające ze sprężarki powietrze, po czym uchodzą przez rurę wydechową (12). Ruch odbywa się przy pomocy silnika elektrycznego (4), zapłon początkowy daje świeca samochodowa. Z chwili dokonania rozruchu świeca zostaje wyłączona. (jl)

Piękno ludowego stroju

Ciekawym i znanym w Polsce regionem pod względem folklorystycznym jest ziemia szamotulska. Słynie ona przede wszystkim z swych pięknych strojów ludowych, pieśni, muzyki i tańca. O tym regionie coraz częściej i coraz głośniejszą mowa ostatnio w Polsce. Dużym zainteresowaniem cieszą się w Polsce i za granicą wy-

Ludwik Gomolec

wej, państwo ludowe troszczy się jednak o zachowanie cennych i starych zabytków sztuki naszego ludu.

Dzięki poparciu państwa i organizowaniu życia świetlicowego na szeroką skalę, zostały stworzone odpowiednie warunki do pielęgnowania

przystępnym języku dla ogółu czytelników, by mógł spełnić swoje zadanie społeczno-kulturalne w świetlicach, teatrach zawodowych i amatorskich.

„Jak wyglądał strój — pisze autor na str. 7 — na terenie Szamotulszczyzny w XVII i XVIII w. nie wiemy z powodu braku źródeł. Przypuszczać można, że dzisiejszy, bogaty i piękny strój Szamotulan rozwinął się głównie w początkach wieku XIX... Dotychczasowe fragmentaryczne dane i badania terenowe pozwalają jednak przypuszczać, że szczytowy rozwój ludowego stroju przypada na lata 1860 — 1890”.

To twierdzenie nie wytrzymuje krytyki historycznej, gdyż właśnie w XIX wieku strój szamotulski już zanikał, na co mamy dowody w zapiskach biblioteki kolegiackiej w Szamotulach, co świadczy, że ani strój nie mógł powstać w pierwszej połowie XIX wieku, ani szczytowy jego rozwój w żadnym wypadku nie mógł przypadać na lata 1860 do 1890. W tych latach mamy tylko do czynienia z jego odrodzeniem. Z tego czasu zachowało się po dziś dzień najwięcej ubiorów ludowych. Potwierdza to fakt, że autor sam znalazł dzisiaj najwięcej oryginalnych strojów na terenie parafii szamotulskiej (por. mapa zasięgu stroju szamotulskiego, str. 8). Z 24 miejscowości, w których podczas poszukiwań terenowych znalazł dzisiaj autor stroje szamotulskie, 8 przypada na parafię szamotulską, a więc nieco ponad 33 proc.

Z tych danych wynika, że strój szamotulski jest o wiele starszy i powstał w ustroju feudalnym przed XIX w. Z pewnością formował się długo jako strój nieszczańsko-chłopski (bogatszych) w ciągu wieków istnienia poddaństwa pańszczyźnianego. Strój ten powstał najprawdopodobniej na przełomie XVI i XVII w., ulegając pewnym modyfikacjom. Barwność i solidność wykonania stroju związana była z rozwojem miejscowego przemysłu tkackiego: warsztatowo-rzemieślniczego i chałupniczego w XVI i XVII w. Szamotyły słynęły w tym czasie jako jeden ze znanych i poważnych ośrodków produkcji i handlu sukna.

tradycji ludowej, otoczenia jej staranniejszą opieką. Takiemu samemu celowi ma służyć cenne wydawnictwo Ministerstwa Kultury i Sztuki oraz Polskiego Towarzystwa Ludoznawczego pn. „Atlas Polskich Strojów Ludowych”.

Atlas — pod redakcją prof. UP dra Józefa Grajka — składać się będzie z sze-



regu monografii popularnonaukowych, obejmujących wszystkie typy strojów ludowych z całego obszaru Polski. Na całość tego wydawnictwa złoży się 5 części. Część druga obejmować będzie Wielkopolskę. Pod koniec ubiegłego roku ukazał się z tej części „Strój szamotulski” w opracowaniu mgr. Adama Glapy. Dokładny opis stroju jest podany w

stępy regionalnych zespołów pieśni i tańca z Szamotul. W roku 1949 Regionalny Zespół Ludowy z Szamotul zdobył uznanie i podziw publiczności stolicy ZSRR — Moskwy. W ubiegłym roku Regionalny Szamotulski Zespół Taneczny ze Szczepankowa otrzymał szacowne wyróżnienie, mianowicie nagrodę państwową, przyznana mu w ramach Festiwalu Muzyki Polskiej.

Zwyczaje ludowe i kulturalne powoli zanikały w ziemi szamotulskiej w wyniku szybkiego procesu urbanizacji wsi polskiej w XIX i XX wieku. Proces ten zaznaczył się wyraźnie w epoce rozwijającego się kapitalizmu na ziemiach polskich. W Polsce Ludowej, przekształcającej się z kraju o strukturze wybitnie rolniczej przed drugą wojną w kraj przemysłowy, proces urbanizacji wsi polskiej występuje w jeszcze większym stopniu niż w czasach rozwoju stosunków kapitalistycznych na naszych ziemiach. Dzięki realizacji w Polsce wielkiego planu przebudowy i rozbudowy gospodarczej od 1950 — 55 roku dokonują się również zmiany w układzie stosunków społecznych. Z każdym rokiem wzrasta liczebnie klasa robotnicza, zasilana głównie przez dopływ ludności ze wsi. Ta imigracja ludności wiejskiej do miast i ośrodków przemysłowych nie sprzyja bynajmniej utrzymaniu pomników dawnej kultury ludo-

Stanisław Kamiński

Noc Mikołaja Kopernika

Noc cicha, pogodna, długa
i niebo gwiazdami mruga,
a tu na fromborskiej wieży
ta noc jak brytan kły szaczerzy,
pilnuje nieba granicy...
Jak zdobyć klucz tajemnicy?

Z katedry szepczą mi święci:
„Dokoła ziemi się kręci
ogrom wszechświata bożego!”
Lecz kiedy spytam — dlaczego?
Milczą kamienne figury
dłonie wznoszą do góry...

Cyfrę się kłębią w rachunku
wokół jednego punktu
i wszystko zdaje się uróżyć,
że ziemię przyjdzie mi ruszyć,
choć groźba zwisa nuda mną:
„Nie waż się bluźnić daremnie!”

Cyrklem planety połączę —
„Wybierz! Zbawienie — lub słońce!”
— w kruchcie pastorał znów dźwięczy.
Rachunek mą prawdę poręczy,
żem nic nie dodać nie ufaj —
bieg ziemi cyfry wskazują.

Posągi milczą bezradnie
i żywym ramie opadnie,
a ziemia w przestrzeń się toczy
— wstrzymać ją w czujnej-że mocy!
Czas spocząć, sen kiei oczy.
Kur pieje... ziemia się toczy...

1952 r.

Maszyny radzieckich pól

Fr. Hryniewicz

Włodzimierz Lenin w zaraniu państwa radzieckiego marzył o czasach, gdy na pola ZSRR wyjedzie 100 tysięcy traktorów. Marzenie to dawno już urzeczywistnił naród radziecki. Już na początku drugiej wojny światowej park traktorowy Związku Radzieckiego przewyższył ilość traktorów we wszystkich krajach kapitalistycznych Europy, a pod względem ilości kombaj-



nów wysunął się na pierwsze miejsce w świecie.

W ciągu powojennej pięcioletniej mechanizacji rolnictwa w ZSRR przyjęła jeszcze większy rozmach. Przemysł radziecki dał wsi spółdzielczej 536 tys. traktorów i 93 tys. kombajnów i ogromną ilość maszyn rolniczych 150 typów.

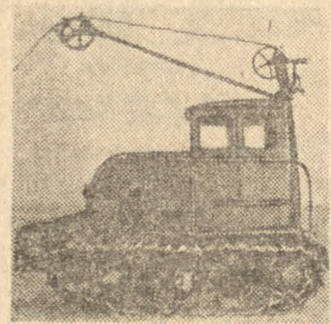
Stopień mechanizacji rolnictwa radzieckiego jest już tak wysoki, że w 1951 r. w kolchozach prawie cała orka była zmechanizowana, 3/4 zasiewów dokonano traktorowymi siewnikami i przeszło 60 proc. całej przestrzeni kultur zbożowych zebrano kombajnami. W gospodarstwach państwowych (sołchozach) wszystkie zasadnicze roboty polne wykonano maszynami.

Jakiego rodzaju nowe maszyny otrzymały w ostatnich latach radzieckie kolchozy i sowchozy? Z mnóstwa nowych maszyn wymienimy te, które znalazły największe zastosowanie w rolnictwie. Technicy radzieccy zbudowali nowy typ traktora, elektrotaktor, któremu sądzone jest zawojuować przyszłość na polach radzieckich. Otwiera on nowy etap w technice rolnictwa (rys. 1).

Nowym osiągnięciem konstruktorów radzieckich jest wysokoprodukcyjny kombajn „Staliniec-8” (rys. 2). Należy on do typu „Staliniec-4”, z których prawie w każdym kolchozie znajduje się „Staliniec-4”. Jest jednak najproduktynniejszy i najbardziej udoskonalony. Obliczony jest głównie na zbiorę wysokorodzących zbóż, które zbiera najczystej z dotychczasowych. Przez kultur zbożowych sprząta on nasienne trawy i techniczne kultury. Bardzo cenną w rolniej praktyce jest maszyna oczyszczająca ziarno — OS-1, O (rys. 3). Maszyna ta oczyszcza i sortuje nasiona różnych kultur zbożowych, motylkowych i trawiatych. OS-1, O w ciągu godziny oczyszcza i sortuje 1 tonę pszenicy. Jest to maszyna bardzo ekonomiczna i dogodna w eksploatacji.

W roku ubiegłym na żniwach w okręgu moskiewskim i na Ukrainie zastosowano żniwiarki-wiązalki, które w ciągu godziny koszą zboża z pół hektara, równocześnie wiążąc je w snopy i ustawiając w kopy.

Postęp techniczny w rolnictwie radzieckim, szczególnie



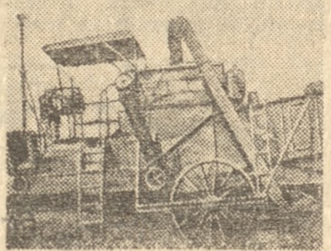
silnie zaznaczył się w konstrukcji kombajnów, dla sprzętu kultur technicznych. Wśród tych maszyn wyróżnia się kombajn kopacz kartofli — KOK-2 (rys. 3). Typ tej maszyny zastosowano w 1951 r. na polach centralnych rejonów Związku Radzieckiego. Kombajn KOK-2 dokonuje równocześnie trzech operacji: wykopuje kartofle, oczyszcza je z naci i ziemi i gromadzi w kopce. Kombajn wprowadziły do traktora STZ-NATI. W porównaniu ze sprzętem kartofli przy pomocy pluga, wkład pracy ta maszyna zmniejsza się pięciokrotnie. W ciągu 10 godzin na lekkich gruntach kombajn KOK-2 wykopuje kartofle na 5 ha.

Zbiórka buraków jest zajęciem, pochłaniającym dużo pracy. W Związku Radzieckim za-

stosowano dla ulżenia pracy człowiekowi tzw. buraczane kombajny. Konstrukcja tych maszyn udoskonalana jest z roku na rok. W 1952 r. pracować będą nowe trzyrzędowe kombajny buraczane SKEN-3. Maszyna tego typu wykonuje równocześnie kilka operacji: podkopa, wyrabia specjalnymi łopatkami, wydobywa z gruntu podkopane buraki, chwytając je za naci specjalnymi łapkami, obcina główki buraków z naci, oczyszcza je i gromadzi osobno buraki i osobno naci.

W ciągu ostatniej pięcioletniej przemysł radziecki dał wiele nowych maszyn rolniczych różnym gałęziom rolnictwa: sadownictwu, ogrodnictwu, do walki ze szkodnikami rolnymi, z chorobami roślin, dla leśnictwa itd. Specjalnie leśnictwo wzbogaciło się w nowe typy maszyn w związku z tworzeniem leśnych pasów ochronnych na wielkich budowlach komunizmu. Skonstruowano maszyny do sadzenia drzew, zbudowano leśne kultywatory, itd.

Szerokie zastosowanie nowych maszyn coraz bardziej zaciera różnicę pomiędzy produkcją rolną a przemysłową. Różnica ta będzie stopniowo się zmniejszać, gdy zastosowane zostaną nowe,



racjonalne metody organizacji pracy — rytmika produkcji, a więc harmonogram i system potokowy. Nową metodę pracy zastosowano już w 1951 roku w kolchozach w kraju Krasnodarskim. Równocześnie ze sprzętem zboża kombajnami, odbywa się oczyszczanie ziarna, osuszanie i odfalowanie do elewatorów. Niedaleki jest czas, gdy system potokowy w rolnictwie radzieckim wejdzie w codzienną praktykę.

Czy ludzkości grozi przeludnienie?

Henryk Barański

Józef Łapiński z Drezdenka zwrócił się do nas o wyjaśnienie istoty maltuzjanizmu, gdyż odczytu na ten temat w radio „słuchał, jak pisze, niedokładnie”. Odpowiadamy niniejszym artykułem.

Red.

Do arsenału środków propagandowych, mających na celu przygotowanie opinii w Ameryce i zachodniej Europie do nowej wojny światowej, należą rasizm, kosmopolityzm i maltuzjanizm.

Co to jest maltuzjanizm? Z końcem XVIII i na początku XIX wieku popularną była teoria angielskiego ekonomisty Roberta Thomasa Malthusa (1766—1834), który w swoim dziele pt. „Essay on the Principles of Population” przedstawił teorię ludnościową, według której przyrost ludności odbywa się szybciej od przyrostu środków żywności, potrzebnych do jej wyżywienia. Starał się udowodnić, że nie kapitalizm jest winien, wzrastającej nędzy mas, lecz sami ludzie, gdyż wojny i epidemie są „dobrodziejstwem”, bo zabierają miliony „niepotrzebnych” ludzi.

Twórcy naukowego komunizmu Marks i Engels zdeklarowali reakcyjną istotę maltuzjanizmu i udowodnili, że poziom rozwoju sił produkcyjnych nawet w warunkach kapitalistycznych jest dostateczny, aby wyżywić przyrost ludności. Przyczyna zaś nędzy, bezrobocia i głodu jest ustrój kapitalistyczny, w którym nagromadzenie bogactw na jednym biegunie społeczeństwa oznacza wzrost nędzy na drugim biegunie.

Hitlerizm sięgnął po teorię Malthusa, aby uzasadnić zaborczą wojnę brakiem „przestrzeni życiowej”. Amerykańscy imperialiści, ci nowi pretendenci do panowania nad światem, usiłują obecnie wykorzystać tę zar-

dzewiała broń maltuzjanizmu dla usprawiedliwienia swoich planów nowej wojny światowej.

Amerykańscy pseudouczni Pendell Fogt, Pearson i Harper tłumaczą bezrobocie, głód i nędzę szerokiej mas narodu amerykańskiego tym, że w Stanach Zjednoczonych panuje przeludnienie, że istnieje przeszło 70 milionów „niepotrzebnych” Amerykanów, którzy „przeszkadzają” pozostałym żyć w dobrobycie.

Amerykanom wtórują Anglicy. W 1950 roku w Anglii ukazała się książka niejakiego Allana Bertusa pt. „Zagadnienie światowego wyżywienia”. Jeden z rozdziałów tej książki ma tytuł: „Za dużo gęb do jedzenia”, drugi — „Buika jest za mała dla całej rodziny”. Treścią tej książki jest hasło: „Produkcje więcej, mnożcie się mniej!” Amerykanie coraz częściej mówią o potrzebie wprowadzenia sterylizacji.

Autor faszystowskiej książki „Droga do zbawienia” William Fogt jest pełen troski o zachowanie czystej krwi amerykańskiej „rasy panów” i proponuje wprowadzić przymusową sterylizację tych, których uważa za niepełno gatunkowych. Inny amerykański pseudouczony Pandell w książce wydanej w 1951 r. pt. „Ludzka płodność — współczesnym zagadnieniem” pisze o zblizającym się kryzysie ludzkości i popiera myśl Fogta wprowadzenia „pozytywnej kontroli”, t. j. przymusowej sterylizacji ekonomicznej najsłabszej części ludności. Pendell proponuje wydawać pozwolenia na zawarcie związku małżeńskiego tylko zarabiającym ponad 100 dolarów miesięcznie.

Teoria o ludzkiej zbytności, których należy zniszczyć wszelkimi sposobami, szeroko wykorzystywana jest przez anglo-amerykańskich imperialistów dla roznieca-

nia psychozy wojennej i usprawiedliwienia zaborczych wojen. Niejaki „uczony” Pitkin, dzieli ludzi na „drogich” i „tanich”. Do „drogich” zaliczeni są niezależni finansowo mieszkańcy krajów angielskich, a w pierwszym rzędzie USA, których zadaniem jest „kierować losami świata”. Do „tanich” należy większość ludności kuli ziemskiej tj. 2.100 milionów ludzi. Tych należy pozbyć się wszelkimi sposobami. Ludność Europy trzeba zmniejszyć dwukrotnie a nawet trzykrotnie. Do tych głosów przyłączył się również poważny skądinąd naukowiec amerykański prof. Morris, który, rozpatrując przyczyny wzrastającego zubożenia ludności, widzi je w niedostatecznej ilości ziemi uprawnej i wzroście zaludnienia. Nawet reakcyjni pisarz i działacz społeczny w Anglii lord Bertrand Russel oświadcza, że ludzkość musi wybrać pomiędzy wojnami i sztucznym zmniejszeniem ludności.

Na biegunowo odmiennym stanowisku stoją uczeni radzieccy, którzy potępiając wrogą ludzkości teorię neomaltuzjańską propagującą przekształcenie przyrody na pustynnych obszarach, aby uczynić nieurodzajne ziemie przydatnymi dla kultur zbożowych i technicznych. Realizacja potrzebnych hydro-technicznych prac na Wołdze i Donie, na Dnieprze i Amu-Darii da możliwość zrosić lub nawodnić przestrzenie, które corocznie dostarczają pół miliarda pudów pszenicy, 300 milionów pudów ryżu, 6 milionów ton buraków cukrowych i 3 miliony ton bawełny. Pomyślnie wcielony w życie plan pasów leśnych, stosowanie płodozmianu, budowa zbiorników wodnych stworzą trwałą podstawę dla produkcji nowych środków żywnościowych.

W warunkach ustroju soc-

jalistycznego nie ma i nie może być przeludnienia, nie ma i nie będzie ludzi zbytecznych. Dotyczy to nie tylko Związku Radzieckiego, lecz i krajów demokracji ludowej, które mają już za sobą poważne osiągnięcia gospodarcze i kulturalne. W takich Chinach, dzięki reformie rolnej urodzaj podstawowych kultur zbożowych i technicznych przewyższył w 1951 roku o 17—45 procent obfity urodzaj 1950 roku.

Rozkwit materialny i duchowy sił narodu Związku Radzieckiego i krajów demokracji ludowej nie pozostawia kamienia na kamieniu z maltuzjańskich „teorii”, twierdzących, że wojny, ruiny i nędza mas są rzekomo „odwiecznym prawem ludzkości”. Uświadamiają to sobie coraz bardziej masy pracujące krajów kapitalistycznych i stawiają coraz zaciętszy opór próbom wywołania nowej wojny, jako rzekomego środka powstrzymania przeludnienia kuli ziemskiej.

Było to w czerwcu 1936 roku

(Dokończenie ze str. 1)

dzostwa... I my również musimy dać wyraz tym pragnieniom”.

Nie trzeba chyba tłumaczyć, że bogobojni dygnitarze nie szukali w faszyzmie bynajmniej jakiegos sprawiedliwego ustroju społecznego-gospodarczego, nie o to chodziło. Widzieli w nim przede wszystkim ratunek przed rewolucją.

Wspomniany już zasłużony działacz kościelny, pan Błażejewicz, mówił:

„Komunizm niestety wywołuje wśród mas potężną i entuzjastyczną wiarę w swą zbawczość. Wielkie nadzieje w walce z komunizmem pokładamy w Niemczech i Włoszech. Idea ta może być źródłem potężnej siły twórczej...”

Równocześnie szermowano nie tylko wlażło, imieniem Piotra Skargi, aby brudnym, faszystowskim knowaniom nadać patriotyczno-historyczną politykę. Wzywali go więc z głębi stuleci na świadka „słudzy boży” na kongresie, kiedy opracowywano program rozbięcia ruchu robotniczego połączonej siłami Akcji Katolickiej, chrześcijańskich związków zawodowych i chrześcijańskich uniwersytetów robotniczych. Powoływał się na Skargę pan Czesław Polkowski, zausznik episkopatu, wódz osławionej pielgrzymki endecko - oenowskich studentów na Jasną Górę, kiedy przekonywał zebranych, że zbudować potęgę Polski można tylko przez dezorganizację klasy robotniczej, a z kolei nawrót do chałupniczych metod pracy („tworzenie drobnych, lecz licznych warsztatów pracy na miejsce wielkich zbiorowisk fabrycznych”).

Ze Skargą na ustach pozdrowiali frankistowską Hiszpanię, której kongres wyraził „największą sympatię i najgłębszy podziw dla rozgromienia ciemnych mocy”. I z tym samym inkwizytor-skim zapałem rzucali klątwy na postępowy Związek Nauczycielstwa Polskiego „wrogi wobec narodu i państwa”, ponieważ sprzeciwiał się powszechnemu wprowadzeniu szkoły wyznaniowej.

... Działo się to wszystko 15 lat temu. W ciągu tego czasu czynnik kościelny, których przedstawiciele wówczas tak ochocho wypowiadali się w najprzeróżniejszych kwestjach społecznych i politycznych swojej epoki — uległy oto dziwniej metamorfozie. Ich dzisiejsi rzecznicy stracili całą swą elokwencję, stali się powszechnie znani nie tylko w słowie ile w piśmie. Woła nie zabierać głosu na tematy aktualne — tak, sądzą, będzie dla nich zdrowie.

... Ale jeśli weźmiemy pod uwagę gruntowną zmianę sytuacji wewnętrznej kraju, historyczne przeobrażenia, jakie się w nim dokonały — to wówczas jasne się stanie, że gardowanie działaczy kościelnych przed 15 laty równa się, ma tę samą wymowę co ich dzisiejsze milczenie.

St. R.

Ludy kolonialne walczą

Malaje — Birma — Syjam

Jan Makowski

Mandalay, Rangun, Bangkok, Kuala Lumpur, Singapur. Na sam dźwięk tych nazw nasuwa się wspomnienia naszych snów dziecięcych, pojawiają się wspaniałe orszaki słoń kapłanych od złota i klejnotów, sułtani malajscy w diademach z kosztownych kamieni i w bogatych ubiorach, tajemnicze świątynie, ogromne rzeźby w kamieniu, gęsta dżungla i egzotyczne zwierzęta.

Marzenia pobudzone literaturą podróżniczą. Piękna powłoka, ukrywająca straszną rzeczywistość uosobioną w białych kolonizatorach eksploatujących Malajczyków, Chińczyków, Birmańczyków, Hindusów. Narody południowo-wschodniej Azji narażone są na bezprzykładny wyzysk, spotęgowany jeszcze na skutek ciągłych walk wewnętrznych z okupantami. Zewnętrzna niepodległość Birmy, karykaturalna niepodległość Wietnamu, Laos czy Kambodży, są takimi samymi komediami, jak stałe mamienie tubylców rozmaitymi aktami narodowościowymi, w celu tym większego podporządkowania ich Wielkiej Brytanii (Birma, Malaje) Holandii (Indonezja) czy Francji (Indochiny). Nawet Syjam, który nigdy nie należał formalnie do żadnego imperium kolonialnego, podlega eksploatacji swych bogactw naturalnych przez liczne zagraniczne konsorcja.

Skorumpowany reżim

W malajskich kopalniach i hutach cyny, na plantacjach kauczuku, żyją robotnicy w skrajnej nędzy, płatni pięć razy gorzej od robotnika angielskiego, pracując nadto po 14 godzin dziennie. Do ciężkiej pracy fizycznej wciągane są również kobiety i dzieci. O ich warunkach życiowych dowodzi fakt, że robotnik malajski jest 3 do 4 razy gorzej odżywiany od robotnika japońskiego. Śmiertelność wzrasta wskutek tego zatrważająco. Bezrobocie powiększa się, a werbunek do pracy posiada charakter niewolniczych jarmarków. Natomiast sułtani opływający w dostatkach, starają się utrzymać swoich poddanych w zależności feudalnej i przekupieni przez

białych kolonizatorów, pomagają trzymać naród w poddaństwie.

Legendarne zyski

W Birmie dochody czerpane przez kapitał brytyjski są legendarne. Jest reguła, że inwestowany kapitał wraca z powrotem do kieszeni kompanii już po kilku latach, a nierazko nawet po kilku miesiącach. Cała bogata gospodarka Birmy, kontroluje pięć towarzystw brytyjskich, jak: Burma Oil Company (nafta), Burma Trading Corporation (szlachetne gatunki drzew), Steel Brothers (ryż i handel zamorski), Burma Corporation and Mawchi Mines (ołów, cynk, cyna, tungsten i srebro), Lloyd's Bank (banki i dewizy). Podobnie zmonopolizowana jest uprawa ryżu i komunikacja przybrzeżna. Po przeprowadzeniu pozornej nacjonalizacji przemysłu birmańskiego przez Takin Nou (prawicowego socjalistę, a równocześnie agenta rządu brytyjskiego), nastąpiło zdeorganizowanie gospodarki narodowej i w rezultacie tego, Takin Nou wszedł z kolei w orbitę Waal Street. Na miejsce zdezonizowanego kapitału angielskiego, wchodzi więc kapitał amerykański.

W kraju białego złota

Bangkok — stolica Syjamu, posiada wspaniałe pałace, błyszczące w tropikalnym słońcu. Wieczorem ulice migocą barwnymi reklamami, luksusowe restauracje rozbrzmiewają muzyką, a wielkie limuzyny amerykańskie suną asfaltowymi ulicami.

Lecz na rzecę i na kanałach pokrytych sampanami, (barki) mieszka jedyna dziesiąta część ludności Syjamu. To pływające miasto przedstawia skondensowany obraz nędzy. Stłoczony rodzinny żywioł w chmurach much i robactwa i w warunkach urągających najprostszemu higienie.

W przetwórnich ryżu zatrudnieni robotnicy, kobiety, młodzież, a nawet dzieci, wdychają zjadliwy pył, wyziewany podczas przeróbki surowca stale dziesiątkowani przez zawodowe choroby. Bezrobotni wystają u drzwi fabryk.

Rynki malajskie okupowane przez

tator Phibul Sengram — sprzymierzeniec japoński podczas ostatniej wojny — powrócił do władzy popierany przez Stany Zjednoczone, wpływ amerykański stale wzrasta.

Ludy walczą o wyzwolenie

W tej części świata walki wyzwolenie trwają bezustannie. Działają partyzantka, stale wybucha powstania, a państwa imperialistyczne stosują jak najokrutniejsze środki represyjne. Na Malajach, Anglicy popierając sprzedajne ugrupowania marionetkowych przywódców, starają się na próżno stłumić działalność partyzantów. Regularne siły wojskowe w liczbie 140000, mimo stosowania systemu „ziemi palonej” i obozów koncentracyjnych, nie mogą zaprowadzić spokoju. W Birmie już od roku 1947 działają i walczą siły ludowe. Rząd rangunski, po wprowadzeniu ustawy antydemokratycznych rozpetał wojnę cywilną, doprowadzając do masowych aresztowań, do rozwiązania związków zawodowych i do zakazu działalności partii komunistycznej. W północnej Birmie opanowanej przez siły ludowe znajduje się gniazdo oporu, skąd wychodzi zarzewie ruchu wolnościowego. To samo dzieje się w Indochinach wstrząsanych regularną wojną, prowadzoną przez reakcyjne francuskie siły wojskowe z miejscowymi patriotami. Ogromne straty w ludziach oraz w materiale po stronie wojsk francuskich, świadczą o sile i poświęceniu powstańców.

Drakońskie środki stosowane przez imperializm europejski i kapitał amerykański oraz utrzymywanie stale płonących ognisk wojennych, są głównymi ogniwami w łańcuchu agresywnej wojny, przeciwko narodom tej części świata. Wojna w Indochinach i na Malajach, jest wyrazem kurczowego bronięcia pozycji wielkiego kapitału, zainwestowanego w bogatych źródłach surowców tak bardzo potrzebnych agresorom. Równocześnie w ich intencji, leży zamiar odbudowania bazy dla nowej wyprawy na Chiny — z których raz na zawsze zostali wyparci. Narody południowo-wschodniej Azji poczuły swą siłę i znają cenę o którą walczą. Jest nią wyzwolenie spod panowania imperializmu kolonialnego i możliwość urządzenia sobie samemu pokojowego życia.

RYBY NOSZĄ Z SOBĄ METRYKĘ

Mówi się często o kimś, że nosi lata wypisane na sobie. Z całą pewnością dotyczy to ryb, szczególnie tych pokrywanych łuskami. Sumy np., minogi, czy wrzescie węgorze, które łuski nie posiadają, względnie bardzo drobne i niewidoczne, należą również do rodziny ryb. Wiek więc ryb jest wypisany na łuskach i nie tylko same lata, lecz również szybkość wzrostu, sposób odżywiania, wędrówki, a nawet choroby bądź inne przejścia.

„Curriculum vitae” na jednej łusce

Weźmy łuskę pierwszej lepszej naszej ryby słodkowodnej i popatrzmy na nią przez szkło powiększające, pod światło. Jeżeli łuska pochodzi od ryby młodej, jednorocznej, wszystkie linie na niej są koncentryczne, równe i świadczą, że jej życie płynnie spłynie. Weźmy natomiast łuskę ryby, która już weszła w drugi rok życia. Jej linie tworzą koncentryczne strefy, rozdzielone ciemniejszą smugą. Ta smuga dowodzi do słowności, ciemniejszych chwil w jej życiu. Mianowicie po jasnym lecie nadeszła ciemna zima. Dzielne rące żywienia zmniejszyły się, albo też zupełnie ustały. Temperatura wody opadła i ryba jest niedożywiona, spoczywając przytulona do dna lub zaszyta w mule. Jest jakby w letargu, a ciało przestało rosnąć. Tak samo ustało narastanie łuski, a ciemna smuga jest dowodem tej przerwy. Z chwilą nadejścia wiosny, ryba budzi się z drzemki, pierwsze promienie wiosennego słońca i ogrzewają wodę i ryba zaczyna żerować. Równocześnie na łusce wytwarza się nowa strefa, na pograniczu starej, po ciemnej smudze zimowej. Posiadaczka takiej łuski znajduje się w drugim roku życia. W ten sposób wytwarzają się strefy jaśniejsze, poprzedzielane wąskimi, ciemnymi smugami. Świadczą one nieomylnie o przeżytych latach.

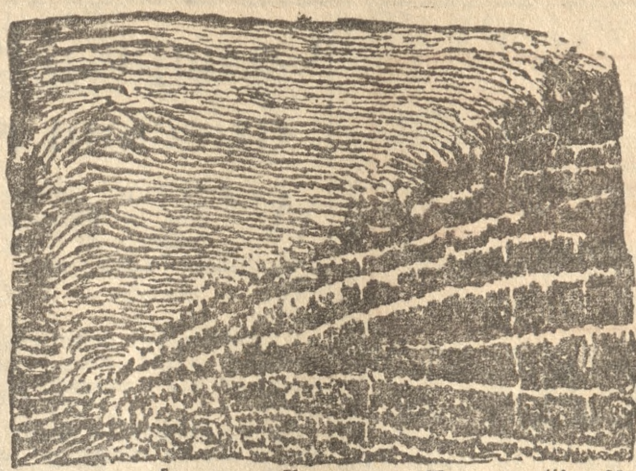
Magia proporcji

Co więcej dziwnego! Okazuje się, że narastanie łuski jest proporcjonalne do wzrostu całego ciała, a przekrój łuski proporcjonalny do długości ciała. Powiększenie przekroju łuski pozwala ustalić, wiele ryba urosła, lub wiele przybrała na wadze w czasie danego roku. W ten sposób wszystkie odległości od środka łuski poprzez linie zimowe, umożliwiają obliczenie wzrastania ryby przez wszystkie lata jej życia. Może się więc zdarzyć, że dwie ryby tej samej wielkości będą posiadały pewną rozpiętość w rozmieszczeniu stref na swoich łuskach. I na odwrót, dwie ryby w tym samym wieku mogą być różnej wielkości. Wszystko zależy od tempa ich wzrastania, co z kolei zależy jest od środowiska bytowego i pożywienia w nim zawartego. Nic więc dziwnego, że dobry łacznik ichiolog, może z dużą dozą pewności ustalić pochodzenie każdej ryby i środowisko jej przebywania.

Dziennik podróży

Jeszcze więcej jednak dziwnego, że ryba na swej łusce nosi dziennik podróży. Szczególnie zaobserwowano to u gatunku tych ryb, które żerują w morzu, a do wód słodkich wchodzi jedynie dla odbycia procesu rozrodu (np. lososie). W wypadku przebywania w wodach słodkich gdzie owe ryby z zasady nie żerują, względnie bardzo słabo, stopień ich przyrastania jest bardzo mały. Widać to wyraźnie na ściśniętych strefach łuski.

Jak więc widzimy przypadek trzenie się dokładne łusce ry-



Obraz łuski rybnej — ukazujący pięć stref przyrastania letniego (I—V) oraz cztery linie zimowe.

biej pozwala ustalić z dużą łatwością wiek ryby, daleko stopień jej wzrastania oraz warunki w jakich bytowała podczas swego żywota. Spotyka się jednak nierzadko łuski, uformowane nienaturalnie, które dla specjalisty przedstawiają pewien problem do rozszyfrowania.

Karta choroby prowadzona przez przyrodę

Są ryby, które sadząc według łuski, powinny mieć — dajmy na to — cztery lata. Tymczasem ich wielkość nasuwa przypuszczenie, że są dużo młodsze. Ponieważ przystość poszczególnych stref na łuskach jest nieomylna, pozostaje zagadnieniem, co wpłynęło na tego rodzaju zahamowanie tempa wzrostu ryby. Po dokładnym obejrzeniu, spostrzec można zdeformowanie jej warg, wskutek złośliwej narośli. To właśnie utrudniało rybce proces żerowania i przyjmowania pokarmu, co z kolei było przyczyną jej małego tempa wzrostu. U drugiej ryby znowu w koncentrycznym układzie łuski, widać w pewnym miejscu wyraźnie ściśnięcie stref letnich i linii zimowej. Wzrost jej więc ulec musiał w pewnej fazie życia również wstrzymaniu. Można nawet ustalić w jakim czasie to nastąpiło. Po dokładnym obejrzeniu ryby, spostrzec można bliźnię na jej karku (jeżeli ryba w ogóle kark posiada!).



Łuska kuli nie jest łatwą konkurencją. Rekordu nie bije się od razu, ale poprzez sumienny i umiejętny trening

Wiemy, że ujemny wpływ sportu na organizm zależy przede wszystkim od przeprowadzania racjonalnego treningu. Doskonały stan sprawności fizycznej organizmu można osiągnąć jedynie na drodze systematycznego treningu i wolnego stopniowania wysiłku. Organizm wytrenowanego zawodnika musi być sprawnym wszechstronnie. Wyćwiczony musi być nie tylko narząd ruchu. Sprawy winny być także i organy wewnętrzne, przede wszystkim — serce i płuca. Dopiero po spełnieniu tych wszystkich warunków można osiągnąć

Została ona przypuszczalnie okaleczona przez człowieka, lub np. przez uderzenie sruhy okrętowej, co się bardzo często zdarza. Snać długo musiała dochodzić do sił, gdyż okres rekonwalescencji i związane z tym niedostatki, dają się wyraźnie odczytać na łuskach.

A u ryb bez łuski

Dobrze — zapyta ktoś. A jak rozpoznać wiek ryb, które łuski nie posiadają. Otóż jest i na to sposób. Należy rozciąć głowę ryby na dwie części. Znaleźć w niej łatwo dwie wapienne kosteczki zwane otolitami i mieszczące się w błędniku ucha. Ich narastanie oraz nawarstwienie jest tak samo proporcjonalne do ogólnego wzrostu ryby. Po sekcyjnym spreparowaniu, dostrzec w nich można zarówno strefy letnie jak i linie zimowe. Warto dodać, że ciało ryby posiada dużą łatwość regenerowania uszkodzeń łuski na skutek urazów natury fizycznej.

Nauka o łuskach — skaliometria — nie jest jakby się na pozór wydawało, nauką o życiu — oderwaną. Studia prowadzone nad gatunkami wielu ryb, nad ich wędrówkami, rodzajem pożywienia i szybkością przyrastania, są zasadniczą podstawą dla każdej racjonalnie prowadzonej gospodarki rybnej.

Opracował
A. J.

Pod Chodzieżą jest jak w bajce

Tadeusz Pasikowski

Wstać trzeba wcześniej, bo pociąg do Chodzieży odchodzi z Poznania o godzinie 5.35. W opromienionym słońcem ranek nie trudno strząsnąć sen z zaspanych powiek, zwłaszcza gdy wycieczka zapowiada wiele miłych wrażeń. A czar i piękno chodzieskich okolic urzeka każdego turystę i miłośnika przyrody. Niewiele znajdziemy w Wielkopolsce równie malowniczych zakątków, jakich sporo kryje się wśród lasów i jezior doliny Noteci.

Po dwugodzinnej podróży dobijamy do celu. Sama Chodzież najmniej jest ciekawa. Ot — małe, liczące około 9 000 mieszkańców miasteczko o bogatej przeszłości historycznej — dawne dziedzictwo Pałuków, po których śladu nie zostało. Warto jednak skorzystać z okazji i w krótkiej przechadzce obejrzeć ciche i czyste ulice; warto zerknąć na wysokie mury dwu, naszpikowanych kominami, fabryk — porcelany i porcelitu, których wyroby, słynące ze swej jakości i artystycznych walorów, znane są nie tylko w całej Polsce, lecz również daleko za jej granicami; warto także zajrzeć przez druciany parkan, w głąb obszernego parku Sanatorium PKP dla płucno-chorych, by naocznie przekonać się w jak wspólnych warunkach leczą się w naszym kraju chorzy robotnicy. Fotografa-amatora i artystę malarza oczarują kręte uliczki i rząd malowniczych domków w alei Kościuszkii.

Ruszymy jednak w lasy i nad jeziora do najpiękniejszych ustroni chodzieskiej ziemi. Nie trzeba nam wędrować daleko. Północne obszary Wielkopolski są jakby krawędzią pomorskiego pojezierza, na którym potężne garby moren dennych i czolowych tworzą nieregularny łańcuch wzgórz porośniętych borami. Łagodne wzniesienia dochodzą tu do 200 m wysokości. Popularny Gontyniec, wznoszący się na zachodniej krawędzi Chodzieży, sięga 192, a nieco dalej na północ piętrząca się Góra Dębowa — 194 m nad poziom morza.

Między pagórkami lśnią w głębokich kotlinach tafle rozlewistych jezior. W bezpośredniej bliskości Chodzieży znajdziemy ich trzy. Największe z nich mierzy około 120 ha powierzchni i przytyka do samego miasta. Ongiś zwano je Ratajskim, obecnie — Chodzieskim lub Miejskim. W pogodny dzień w jego kobaltowych toniach odbijają się zabudowania pojedynczych gospodarstw, na przeciwnym brzegu, zbocza wzniesień poszatkowane zagonami pól i łąk, upstrzone kępami drzew i krzewów. W przybrzeżnym pasie trzcin i szuwarów kwaczą dzikie kaczki, w przelotnym oddaleniu od piaszczystych plaż

najczęściej ciągną liczne wycieczki. Mijamy więc tory kolejowe i szeroką drogą kierujemy się ku rozległemu terenowi Parku Miejskiego. Potem wąską ścieżynką schodzimy w głąb podłużnej kotliny, na dnie której mieni się gładkie lustro Jeziora Strzeleckiego. Wystarczy przejść kilkadziesiąt kroków by znaleźć się w zakątku pięknym jak w bajce. Wokół nas wzgórza, las i woda. Podłużna rynną jeziora zamknięta jest zewsząd prostopadłą ścianą borów. Gęsty starodrzew przytyka do samych wód. Wąską drożką idziemy teraz obok pluszczących cicho fal. W uroczych zatoczkach kwitną wianse



Widok z okolicy Chodzieży

nurkują czubate perkozy, w słotne i wietrzne dni szybują nad wodami srebrne rybitwy, nadlatujące tu pono aż znad Bałtyku.

Nad Jezioro Miejskim zakładać można w każdym zakątku, lecz kąpać się wolno tylko na wydzielonym terenie Łazienek Miejskich. Widać je z daleka na północnym krańcu wód za żółtym się pasem miasteczka. W centralnej części łazienek wznosi się pawilon restauracyjny, a w bocznych skrzydłach urządzone są łazienki i kabiny. W upalne dni świąteczne jest tutaj rojno jak w ulu.

Ale Jezioro Miejskie nie jest jedyną atrakcją Chodzieży. Znacznie ciekawsze i piękniejsze są południowo-zachodnie obszary i ku nim

żółte grzadzile, szeleszczą trzcin i tatarak. Co kilka kroków natrafiamy na wysunięte w głąb wody stłoczone wędkarzy. Przycumowane do pali łódzie spacerownicą obletnicą przylemnej przejażdżki po jeziorze.

Obok ścieżki, na spadzistej skarpie wzgórze, białą się wysoki i smukły pnącze brzoza, a wyżej brunatno-czerwone sosny. Ciemna cześć borów wabi amatorów owoców leśnych bogactwem jagód, poziomki i grzybów.

Mniej więcej w połowie długości jeziora wydostajemy się strumą ścieżynką na płaski szczyt leśnego garbu. Wznosi się na nim niewielki budynek o pruskim murze. Białe ściany domku pocięte są krechami zielonych belek. Mieści się tutaj popularna gospoda wycieczkowa zwana „Pierwszym Majem”. Wokół budynku i na niżej położonym tarasie roztawione są stoły i krzesła dla spragnionych odpoczynku wczasowiczów. Po drugiej stronie gospody — szerokie schody sprowadza nas na obszerną polanę, na której dość jest miejsca na organizowanie zabaw i gier sportowych. Również tutaj jest w dni świąteczne rojno i wesoło. Przy radiowym koncercie i nad kufem chłodnej oranżady czas mija szybko i przyjemnie.

Idąc jeszcze dalej dochodzimy do drogi, która wyprowadzi nas z lasu. I znowu stajemy urzeczeni wspaniałym krajobrazem. Rozciąga się stąd widok na malowniczą wioskę Karczewnik, leżącą nad wodami jeziora tej samej nazwy. Z lewej strony wyrastają ponad konary drzew cynobrowe dachy sanatorium z niewielką wieżyczką w środku; niżej rumienią się nie otynkowane budynki gospodarcze i chaty przycupnięte w sadach; na wprost nas ciemnieją granatowa smuga borów. Krętą drogą polną możemy teraz obejść jezioro dookoła by na jego przeciwnym brzegu zanurzyć się w cienisty park. Za starym młynem i pokrytym rzęsą stawem kryje się piętrowy pałacyk, w którym mieści się Państwowy Dom Wczasów Dziecięcych. Stąd — droga powrotna do Chodzieży jest już niedaleka i wygodna.

Piękne i zdrowe są okolice Chodzieży. Nic więc dziwnego, że każdego lata organizuje się tutaj liczne kolonie i obozy harcerskie; w dni świąteczne i wolne od zajęć nad jeziora ciągną entuzjaści sportu wędkarskiego, miłośnicy przyrody i artyści malarze; nawet z odległych stron przyjeżdżają do Chodzieży ludzie pracy by w ożywym powietrzu, pachnącym aromatami borów, w słońcu i wodzie — zażywać błogiego wypoczynku.

Trening dobrego sportowca

Eugeniusz Dylewicz

dobłą kondycję i pełnię formy sportowej.

Racjonalny trening sportowy dzieli się na kilka okresów: 1) okres zaprawy, czyli trening przygotowawczy, 2) okres zawodowy, sezon sportowy, 3) okres po sezonie i 4) okres odpoczynkowy. Nie poruszając technicznej strony treningu warto zastanowić się nad ciekawymi cyframi otrzymanymi przez obliczenie czasu potrzebnego zawodnikowi do osiągnięcia szczytowych rezultatów.

Lekki krok — ciężka praca

Szczególnie trening czołowych zawodników — rekordzistów w pewnych gałęziach sportu np. w gimnastyce, lekkiej atletyce, koszykówce, tenisie — jest nadzwyczaj ciężką pracą, o jakiej zazwyczaj nie ma się pojęcia. Podziwiając z trybun smukłe sylwetki biegaczy — długodystansowców np. Zatopka, nie zastanawiamy się, ile pracy, ile muzułu włożył on w to, aby lekkim krokiem przebiegać kilometry biegni i ustanowić fantastyczne wprost rekordy światowe.

Jako przykład rozpatrzmy pracę sportową dobrego zawodnika w biegach średnich, trenującego 5 razy tygodniowo z przerwą dwóch miesięcy w zimie. Tak wygląda przeciętny trening według tabeli podanej obok.

Z obliczeń tych wynika, iż średniodystansowiec dbający o swoją formę poświęca przeciętnie około 3 godzin na sam trening, wliczając w to dojeżdżenie na boisko i powrót do domu. Do powyższe-

go winno się jeszcze doliczyć czas przeznaczony na odpoczynek po treningu (pożądany 1—2 godz.). Wypadnie więc ogółem około 5 godzin czasu przeznaczanego na trening w jednym dniu w warunkach prawidłowej, spokojnej pracy sportowej.

Tygodniowo więc poświęca zawodnik na trening (przy 5 treningach) 25 godzin, czyli pełną dobę!

Czas ten wydatnie się poświęca, jeśli zawodnik trenuje dwa razy dziennie (rano i wieczorem) i jeśli się wliczy czas potrzebny na zawody.

Zaznaczyć tutaj musimy, że trening średniodystansow-

ca nie jest bynajmniej rekordowy co do czasu trwania.

Czas ten wydatnie przekraczają długodystansowcy, kolarze, szosowcy, maratończy, narciarze itd. Dla nich 5-godzinny trening dzienny nie wystarcza. Samo przeciętne przebiegnięcie 20 km lub jazda 30 km na nartach — to już wysiłek ponad 1 godzinę. Jeśli zaś dodamy do tego czas potrzebny na odpoczynek, masaż, łaźnię, dojeżdżenie do miejsca treningu itd., zorientujemy się, że suma godzin przeznaczona na trening sportowy rekordzisty sięga osiem godzin! Trzeba więc wielu wyrzeczeń, by zdobyć się na taką siłę woli; pozbawić się innych (poza sportem) rozrywek itd. Trzeba inaczej patrzeć na rekordy sportowe.

1. Gimnastyka poranna	— 15 min.
2. Automasaż	— 20 „
3. Trening popołudniowy	
a) rozruszanie się	— 10 „
b) przerwa	— 5 „
c) I część treningu właściwego	— 10 „
d) przerwa	— 5 „
e) II cz. treningu właściwego	— 10 „
f) przerwa	— 5 „
g) III cz. treningu właściwego	— 10 „
h) ćwiczenia końcowe	— 5 — 10 „

Razem 1 godz. — 40 min. 1,40 godz.

Do tego dochodzi:

i) ubieranie się	10 min.
j) kąpiel po treningu	— 10 „
k) dojeżdżenie do boiska i powrót	— 20 „
(często wynosi to więcej)	

1 masaż po treningu — 45 „

Razem 1 godz. — 25 min. 1,25 godz.

czyli łącznie 3,05 godz.



Kochany Głosiku!
Przeżyłamy sobie
wspaniałe wakacje
wienia z kolonii
letnich Jesteśmy
pod Chodzieżą
w bardzo pięknej
okolicy. Gajemy
się świetnie i
całujemy się w
oba policzki.
Jurek
i Jurek

Nad polskim morzem
NA BAŁTYCKIM brzegu
złote słonko świeci
bawia się wesoło
na wakacjach dzieci
Kopią w piasku rowy
i budują mosty
muszelki zbierają
albo wodorosty
Janek i Małgosia
złowią chcą łososią
a ta wędka chyba
to na wieloryba
Na bałtyckim brzegu
tak się bawią dzieci
niech im przez wakacje
złote słonko świeci
Hanna Ozógowska

Kto odgadnie?
STOSOWNIE do życzeń
naszych najmłodszych Czy
telników zamieszczamy nową
zgadywanke do rozwiązania
którą zapraszamy wszystkie
dzieci. Spójrzcie na figurę i
wpiszcie w nią poziomo 8
wyrazów pięcioliterowych. Roz-
wiązanie da rząd pionowy, o-
znaczony kropczkami
A oto znaczenie wyrazów:
1) wchodzi się przez nie do
mieszkania. 2) waga towaru bez
opakowania. 3) tmię żeńskie;
4) wielki obszar wodny. 5) po-
mieszczenie dla krów. 6) miasto
w woj. kieleckim. 7) inaczej
natychmiast. 8) zbiór map.
Na dzieci, które nadesłały po-
prawne rozwiązanie do dnia
13 bm czekają nagrody książ-
kowe. Na kopercie prosimy za-
znaczyć „Kto odgadnie” i po-
dać dokładny adres
(U! — Roma)

Nasz Głosik

WYCIECZKA

CZESĆ Rysiek! No, jak tam z naszą wycieczką? — zawołał puciołowaty chłopak.
— O jaką wycieczkę ci chodzi — zapytał bez entuzjazmu, starannie uczesany blondynek.
— No, nie pamiętasz? U-mówiliśmy się w klasie, że po zakończeniu roku szkolnego pojedziemy w ośmkę rowerami po Wielkopolsce.
— Tak, ale ja nie wiem, czy z wami pojedzie — przerwał niepewnie Rysiek.
— Jak to! — wykrzyknął Jurek. — Ty bracie się nie wygłupiaj i nie rób nawałanki. Czemu nie masz ochoty? Nie masz ochoty, czy co!
— Ochotę mam nawet wielką, tylko...
— Tylko co? Rower przecież masz i to nowiuteńki. Dostałeś go dopiero na wiosnę, więc jest na chodzie. No, więc?
— Tak, tylko — Rysiek jakby szukał słów — tylko rodzice mi nie pozwalają...
— dokończył z rozpaczą.
— Nie pozwalają? — zdumiał się Jurek. — A to dlaczego?
— No, wiesz, chodzi o moje świadectwo...
— Ach tak! — pokłwał głową Jurek i zasygnalizował. — To rzeczywiście przykra historia.
Między chłopcami zaległo milczenie.
— Wiesz co ci powiem? — wybuchnął wreszcie Jurek — możesz się na mnie nawet obrazić, ale ci powiem! Jesteś bałwan i ty! Tak się uczuć, żeby nie przejść do następnej klasy — to naprawdę wstyd! Czy ty chłopie nie masz ambicji nawet za dwa grosze?
— Albo teraz Złot w Warszawie. Przecież to wspaniała impreza — czy ty nie chciałbyś tam być, widzieć to wszystko i przeżywać? Pomyśl: prawie 300 tysięcy młodzieży i to wszystkich najlepszych z całej Polski. A ty co, dwójce na świadectwie i nic więcej. Widzisz — taki Janek pojedzie do Warszawy na Złot i ilu jeszcze z naszej szkoły. Przez cały rok sumiennie pracowali to i na-

groda ich nie minie. A ty, nawet na wycieczkę nie pojedziesz — dobrze ci tak!
Jurek przerwał nagle i popatrzył na kolegę. Rysiek stał ze spuszczoną głową. Zrobiło mu się go trochę żal i zapytał łagodnie:
— Co będziesz robił przez całe wakacje?
— Ojciec powiedział, że mam siedzieć w domu i się uczyć — odpowiedział cicho.
— Strasznie się zawzięł.
Rysiek usiadł na murku i zaczął obgryzać paznokcie.
— Czy Janek jedzie z wami? — bąknął po chwili.
— Właśnie — spochmurniał Jurek — mamy z nim kłopot, bo nie ma roweru i chyba dlatego nie pojedzie.
— Wiesz co ci powiem głusie — powiedział energicznie Rysiek i chwilię się zawahał — niech... niech Janek weźmie mój rower i niech jedzie z wami.
Jurek otworzył usta.
— Naprawdę? — wykrzyknął po chwili. — Niech cię

geś kopnie! Ale równy chłop z ciebie!
Wykrzyknikom nie było końca, a gdy się wyczerpały, Rysiek zapytał z prośbą w głosie:
— Ale mi pomożecie w nauce do poprawki, żebym był razem z wami w ośmej, prawda?
— Wiadomo! Jesteśmy kolektywem czy nie? A gdybyś więcej interesował się w ciągu roku, naszym życiem klasowym, to byś wiedział, że kolektyw istnieje wszędzie i w nauce i w zabawie i że nigdy nie opuszcza kolegi. Już my cię przypilnujemy bałwanie! — Jurek pociągnął kolegę po przyjacielsku za ucho — na przyszły rok pojedziesz z nami.
Chłopcy zaśmiali się serdecznym młodym śmiechem.
— No, to klasa, lećmy do Janka powiedzieć mu o tym. A to się dopiero chłopak ucieszy!
I pobiegli.
Maria Mańkówna

Co napisał Pan Prezydent dzieciom na dyplomie

WPOWIECIE obornickim, w Parkowie, znajduje się 7-klasowa Szkoła Podstawowa.
Ojciec — powiecie — u nas także!
Oczywiście, lecz dzieci parkowskiej szkoły różniła się czynność od was i waszych kolegów.
Sa one mianowicie bardzo, ale to bardzo oszczędne! W chwili, gdy ich nauczyciel, pan Szatkowski, założył Szkołę Kasę Oszczędności, wszystkie dzieci się do niego zapisały. Mało tego — 70 uczniów założyło własne książecki oszczędnościowe.
— Wujek podarował mi dwa złote — mówi Marysia.
— Zaraz zaniósę je do Kasy.
— A ja od tatusia dostałam na imieniny aż dziesięć złotych — opowiada Janek.
— Także je oddałam...
Od ziarnka do ziarnka, az zbierze się miarka. Parkowskie dzieci ani się obejrzały,

jak w kasie znalazło się tyle oszczędzonych pieniędzy, że można było urządzić za nie wspaniałą, szkolną wycieczkę.
Uczniowie udali się najpierw do Krakowa. Następnie zatrzymali się w prześlicznie położonym Ojcowie, wreszcie pojechali podziwiać Nową Hutę.
Pełni wróż wrocili z wycieczki do Parkowa.
Lecz to jeszcze nie wszystko. Wyobraźcie sobie, że parkowska szkoła otrzymała także z PKO dyplom uznania, na którym Pan Prezydent napisał własnoręcznie te słowa:
Wydałna praca i rozumna oszczędność podstawą naszej przyszłości. Bolesław Bierut.
Teraz już wicie czym się różnią dzieci parkowskiej szkoły podstawowej od uczniów innych szkół?
D. L.

Tadzik i Elzunia

ELZUNIU! Mój konik się popsut.
Dziewczynka podeszła do bractzka.
— Ach, coś ty znowu zbroiła? Urwałaś nogę konikowi! Daj, naprawię go.

— A umiesz? — spytał z niedowierzaniem.
— No, naturalnie, że umiem. Przynieś tylko z kuchni młotek i gwoździe, a zaraz konika naprawię.
Tadzik poszedł po narzędzia i za chwilę był z nimi z powrotem. Usiadł na krzeselku obok siostry i przyglądał się z zainteresowaniem, jak ona zabrała się do naprawy.
W tej chwili zabrzmiał dzwonek. Elzunia pobiegła otworzyć drzwi.
— Ach, to ty Haniu, proszę wejść!
— Nie, nie wejdę, przyszedłam po ciebie. W bramie czekają Hela i Maryka chcemy być poszła z nami do parku.
— Nie mogę Haniu, gdyż tatuz jest u pracy, mamusia na zebraniu w szkole, a ja muszę pilnować Tadzika.
— Ech, — Hania machnęła lekceważąco rączką — Tadzik jest już duży ma 4 lata i może sam się bawić! Chodź, nie pożałujesz.
Elzunia wahała się jeszcze chwilę, ale pokusa wspólnej zabawy w parku była zbyt pociągająca.
— Tadziku, baw się grzecznie samochodziem. Za 5 minut wrócę i konika naprawimy.



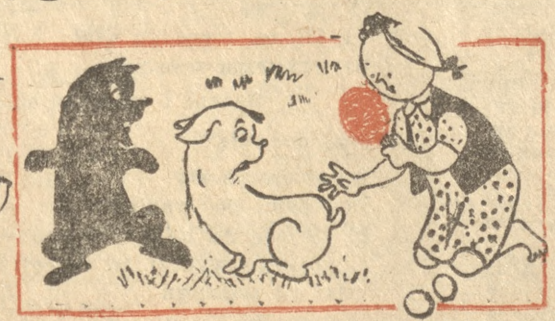
MALY Jerzyk ma dopiero pięć lat, ale jest mądrym chłopczykiem. Będzie budował samochody. Tak opowiada, gdy go starsi zapytają. Ogląda każdy samochód. Wie, że takie silnice, popielate z tyłu, trochę do góry uniesione, to Warszawa, siostrzyczka radzieckiej Pobiedy W Polsce jest ich fabryka. Jerzyk bardzo by chciał być kiedyś w tej fabryce. Starszy kuzyn Staszek, jest w liceum mechanicznym On właśnie mówił Jerzykowi, że trzeba się dużo uczyć, żeby zostać budowniczym samochodu.
Staszek ma teraz wakacje. Jerzyk prosił go:
— Staszku kochany! Opowiedz mi o samochodzie. Dlaczego on jedzie
Staszek zapytał mamusię.
— Ciociu czy mogę pójść z Jerzykiem? On chce, żebym mu pokazał samochody.
Mamusia Jerzyka uśmiechnęła się.
— Dobrze Staszku. Idźcie.
I poszli. Jerzyk patrzył tylko na nowe, świeżące samochody. Ale Staszek mówił mu tak.
— Jerzyku! Najważniejsze jest, żeby samochód był mocny i ludziom służył. Ciężarowy samochód najtrudniej zbudować.
Jerzyk szukał więc samochodów ciężarowych.
— Patrz! Tam stoi taki zupełnie nowy! Jak się nazywa?
— Ten samochód nazywa się Star. Pierwszy polski sa-

mochód ciężarowy. Chcesz go obejrzeć?
— No pewnie! — krzyknął Jerzyk wesoło, a potem zaraz zapytał.
— A gdzie on ma motor? Nigdzie nie widać?
Staszek uśmiechnął się.
Motor jest w środku. Tam gdzie siedzi szofer.
— A szofer się nie zapali? — Dlaczego miałby się zapalić?
Jerzyk się zawstydził.
— Tatus mówił, że samochody palą benzyną...
— Pewnie, że palą, ale nie tak, żeby się zapalały. Uważaj co ci powiem. Każdy samochód ma cylindry. Cylindry, to taka rura, w środku motoru, z jednej strony zamknięta. W tej rurze gładkie jak lustro suwają się do góry i na dół tłoki. Ssaą benzynę...
— Jak to, ssaą?
— Zwyczajnie, jak małe dziecko z butelki.
— Jak małe dziecko?
— Właśnie.
— Jak weźmiesz rurkę i ją wsadzisz do wody i ciągniesz powietrze, to rurka napełni się wodą. Motor do cylindrów nie wciąga wody a taka mgiełka z benzyny i powietrza. W cylindrze jest świeca...
— Świeca...? — Jerzyk nie wierzył Staszewi. — Taka zwyczajna?
— O to zupełnie nie zwyczajna świeca. Elektryczna. Tylko się tak nazywa. Widziałeś kiedy, jak przy włączaniu kontaktu do lampy skacze po drucie iskra?
— Widziałem! — odrzekł szybko Jerzyk.

— No i taka sama iskra skacze na tej świecy samochodowej. Mgiełka benzyny zapala się, wybuchają...
— ...i co, co?
— ...i pcha tłoki, a tłoki kręcą wał.
— Co to takiego ten wał?
— To taki bardzo, bardzo gruby drut. No taki jak twoja ręka. Kręci się on bardzo szybko i obraca koła. Przenosi siłę motoru na koła.
Do samochodu podeszedł szofer.
— Zaraz zobaczysz, jak będzie ruszał — powiedział Staszek. — O teraz kierowca nacisnął starter. To taki mały motorek elektryczny, który obraca motor, by tłoki mogły wciągnąć trochę benzyny. O już zapalił. Benzyna jest w cylindrach. Teraz szofer nacisnął sprzęgło.
— Sprzęgło?
— To takie urządzenie. Jak się pedał po lewej stronie kierownicy naciśnie, odłącza się motor od wału. Kierowca może włączyć biegi. Potem ci powiem co to jest. Patrz przedko. Już rusza. Widzisz, jak się ten gruby pręt pod samochodem kręci.
— Widzę! — krzyknął Jerzyk.
Samochód Star ruszył tymczasem i był już daleko.
— Staszku! — prosił chłopiec — opowiedz mi jeszcze o tych biegach. Bardzo cię orosze.
— Dobrze Jerzyku, ale to już innym razem. W następnym „Głosiku” Zgoda?
Jacek Milezewski

Elzunia biegła ulicami miasta. Jeszcze jedna ulica, zakręt i wreszcie dom. Wbiegła zaniepokojona do bramy i przeskakując po dwa stopnie znalazła się pod drzwiami mieszkania. Przyłożyła ucho do dziurki od klucza i nadsłuchiwała. Nic... cisza... To dobrze — pomyślała — Tadzik bawi się grzecznie, a ja się niepotrzebnie lękałam.
W tej chwili drzwi się otworzyły i stanęła w nich mamusia.
— Gdzie ty byłaś, Elzuniu? — W parku.
— W parku? — w głosie mamusi zabrzmiało zdziwienie i wyrzut.
Dziewczynka spuściła głowę i weszła do mieszkania. Konik z urwaną nogą leżał na stole, ale Tadzika w pokoju nie było. Wbiegła szybko do drugiego pokoju, pochyliła się nad łóżeczkiem i zobaczyła obandażowaną lewą rączkę Tadzika.
— Co się jemu stało... To chyba przeze mnie mamusi... — powiedziała cicho i w oczach zakręciły się łzy.
— Tak Elzuniu, zostawiłaś go samego, a poza tym nie schowałaś ani młotka, ani gwoździ i Tadzik skaleczył sobie rączkę.
— Mamusiu — Elzunia przytuliła się do matki — to przez moje nieposłuszeństwo Tadzik cierpi, a ja go tak przecież kocham. Mamusiu — powiedziała stanowczym głosem — pierwszy i ostatni raz w ten sposób postąpiłam.
D. Siekierska

Przygody Maciejka i Ewy



— Oj, jak gorąco — Maciejek biada. Wymyśl coś Ewo...

— Znajdzie się rada!

Już jest przyjemniej, choć słonko świeci, bo As rakieta wachluje uzięci.